

H. Olszowski

BRZASK



P. 409



150.
CZAS

DWUMIESIĘCZNIK

R. 62

uczennic Liceum i Gimnazjum
w Mariówce Opoczyńskiej

ROK XIV

M A J 1939 R.

Nr 49

Święto Naszej Szkoły

Dzień budził się ze snu świeży, radosny i roześmiany. Wiosna przychodziła do nas na skrzydłach tego poranka cała w słońcu, ciepłe, w kwiatkach, przychodziła gwarząc potężnym rozhoworem drzew, przychodziła rozśpiewana głosami ptasząt, radosna w swym pięknie, niosąca ludziom swój najcudniejszy uśmiech szczęścia.

Uśmiech wiosny! Spłynął on niby ożywcze tchnienie na rozbudzoną przyrodę. Spłynął na świat ciepłem słonecznym, złoty jak promienne słońce, nagrany światłem...

Kapryśny miesiąc kwiecień zegnał świat swym najpiękniejszym uśmiechem, pełnym złota i radości. Mariówka stała jeszcze cicha, senna i dziwnie milcząca, gdy wokół niej wszystko budziło się do życia. Martwym spojrzeniem swych licznych okien patrzyła na otaczającą ją, w nieskończoność ciągnącą się przestrzeń pól i łąk. Lecz w tej jej senności czuło się coś niecodziennego, jakieś oczekiwanie czegoś, co ma przyjść, czegoś bardzo podniosłego...

Wiatr szalony, niesforny, niepoprawny trzpiot szarpał girlandy wieńców oplatających fronton gmachu... Łopotały białe czerwone sztandary narodowe.

Złote, ciepłe i życiodajne promienie słońca wtargnęły do miłych, białych sypialni, rozświeciły ich wnętrza i spoczęły na główkach jasnych i ciemnych, pogrążonych w słodkim, beztroskim śnie. Pieściły czule te główki złote lub czarne przytulone do poduszek, muskały senne twarze, jakby tą ciepłą, czułą, lecz natarczywą pieśzczotą pragnęły obudzić je wszystkie. Bez nich, pensjonarek, gmach cały był smutny i martwy. One nadawały mu życia, one były jego duszą pełną energii i mocy.

I teraz wraz z nimi budził się do życia olbrzym — gmach, budził się w dniu swego wielkiego święta, w dniu, w którym miał otrzymać swój chrzest święty. Ożywił się życiem dziewcząt, które w nim przebywały.

* * *

A przed Mariówkę co chwila, nieustannie zajeżdżały pojazdy. Auta różnego rodzaju i typu stały spokojnie rzędem na dziedzińcu. Z Śródmierza przyjechał Jego Ekscelencja Ks. Biskup Jan Lorek z księżmi. Z ramienia Kuratora Okręgu Warszawskiego przybył Pan Wizytator Allichniewicz. Przyjechał z Opoczna Pan Starosta Kurzeja. Z hukiem i warczeniem sapiąc jak zmęczona lokomotywa, zajeżdżał zakurzony autobus przywożąc gości z Częstochowy: Siostrę Dyrektorkę Gimnazjum i Liceum SS. Zmartwychstańską, Benignę Pilchowską, Matkę Alojzę, przełożoną SS. Nazaretanek, obie z asystentkami; Dyrektorkę Szkoły Zawodowej, Marię Morawską, Przełożoną Marię Godlewską. Księży: prob. Jastrzębskiego, ks. Mgr. Perzyński; grono nauczycielskie.

Przyjechali licznie rodzice, entuzjastycznie witani przez swoje pociechy, i moc innych miłych gości. Gmach huczał od gwaru rozmów, śmiechu, krzyków i nawoływań, napełniał się po brzegi przybyszami z różnych stron Polski.

* * *

W kaplicy szkolnej cicho i przytulnie. Tam na świecie, za oknami, gama barw i światel szaleje przyroda, gwarzą coś w potężnym poszumie drzewa mariońskiego ogrodu. Słońce na smugach swych promieni śle ziemi złote, ciepłe uśmiechy radości. Tu, w tym przybytku Boga, dostojny spokój i ukojenie spływa na głowy rozmodlonych ludzi, a rozrzewnienie dziwne i nieokreślone, połączone z jakąś wewnętrzną, skupioną w sobie i pogodną radością, wlewa do ich dusz... A przy ołtarzu dokonuje się ofiara wielka i święta, ciągle ta sama, ciągle niezmienna. Składa Ją do stóp Wszechmocnego Pana Jego Eksceleńcja Biskup Jan Lorek. Statua Matki Bożej, stojąca w niszy na ołtarzu, zdaje się ożywiać. Z góry spod spuszczonej powieki patrzy na tego oto zastępcę Jej Boskiego Syna dokonującego Cudu Przeistoczenia, patrzy na główki dziewcząt kornie schylone lub wzniesione ku górze, szukające w Jej ciepłym, matczynym weirzeniu podpory i obrony. Dźwięki organów rozplywają się w ogólnej ciszy... Ofiara dokonana!

Złota smuga słońca wpadająca przez okno igra tysiącem barw w pastorale i infule biskupiej, która świeci z dala niby drogocenna korona.

Ksiądz Biskup mówi do nas, młodzieży, zwracając się w szczególności do tych, które w dniu dzisiejszym przyjmą z rąk Jego dostojnych święty sakrament bierzmowania, na które za chwilę spłynie siedem Darów Ducha Świętego. Słowa jego mocne, ważne mają w sobie moc i prawdę wiary, słodycz świętości i bohaterstwo męczeństwa. Mówi niedługo, ale bardzo pięknie, bardzo serdecznie i tak jakoś z głębi serca. Napomina nas Dostojny Duszpasterz, abyśmy zawsze postępowali w myśl zasad Chrystusowych, byśmy wokół siebie roztaczały skarby naszej duszy, byśmy tak jak ów pierwiastek rad, wynaleziony przez naszą słynną rodaczkę, promieniowały na całe otoczenie nagromadzonymi skarbami życia wewnętrznego.

* * *

Nadeszła chwila poświęcenia nowego gmachu. Ks. Biskup w otoczeniu licznie przybyłych Księżów obchodził wszystkie piętra i przy udziale gości poświęcił poszczególne sale: klasy, sypialnie. Następnie na stopniach gan-



Nadeszła chwila poświęcenia nowego gmachu



Ksiądz Biskup przemówił do zebranych gości i uczniów.

ku przemówił do zebranych wokół gości i uczniów.

Ciesz się, Polsko!

Przybyła Ci nowa, nieustrudzona placówka, której zadaniem jest wychować narodowi przyszłe pokolenie dobrych Polek i prawdziwych katoliczek!

* * *

Sala teatralna napełniła się gośćmi, którzy zebrali się tu, by uczestniczyć w krótkiej akademii ku uczczeniu dokonanego aktu poświęcenia nowego skrzydła gmachu szkolnego. Po odśpiewaniu hymnu szkolnego „Naszym hasłem Bóg, Ojczyzna!” i zagajeniu przez Księdza Dyrektora Panna Jarząbkówna, była Wychowawczyni Seminarium w Mariówce, a obecnie założycielka i Przełożona Szkoły Zawodowej w Płocku, wygłosiła referat, w którym w bardzo interesującej formie przedstawiła dzieje Mariówki od chwili powstania aż do dnia dzisiejszego. Wykazując stopniowy wzrost szkoły i jej rozwój uwydatniła i mocno podkreśliła wielkie zasługi na tym polu Drogiego Księdza Dyrektora. Od nas, uczniów, jedna z licealistek wygłosiła wzruszające przemówienie. Treścią jego byłyśmy my, pensjonarki, i nasza szkoła, którą kochamy i do której pomimo narzekań przywiązujemy się bardzo.

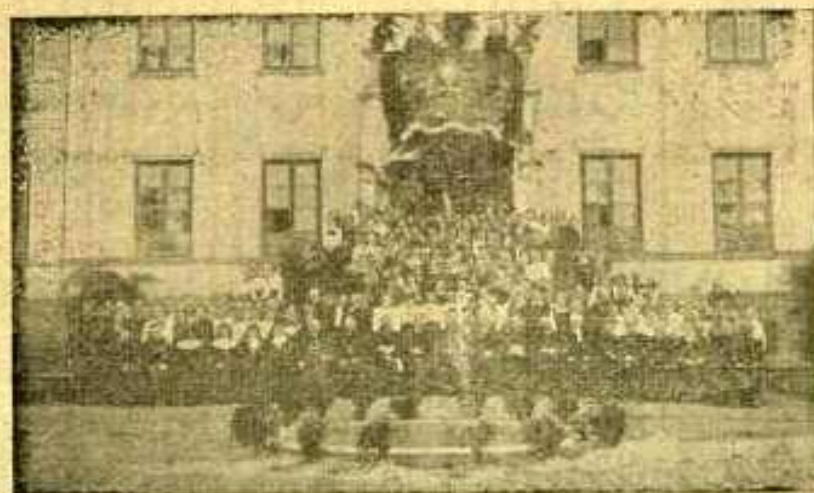
Na zakończenie chór wykonał trzy pieśni: „A jak poszedł król na wojnę” (Konopnicka — Maszyński, pieśń artystyczna), „Wojak” Chopina, „Do roboty” Madejskiego. Zostały odegrane dwa utwory fortepianowe: Mazurek Chopina i Krakowiak — Moniuszko — Adamowski. Akademią i wspólną fotografią zakończyły się uroczystości w związku z poświęceniem nowego gmachu.

* * *

Po południu czekała miłych gości jeszcze jedna, naprawdę śliczna atrakcja. Staraniem uczennic, pod kierownictwem Pań Nauczycielek, została wystawiona sztuka p. t. „Laleczka z saskiej porcelany,” cudownie barwna, śliczna i fantastyczna opowieść, jedna tych



Akademia



I wspólną fotografią zakończyły się uroczystości.

wyczarowanych i wyśnionych dziecięcą wyobraźnią baśni, tak żywa i porywająca, że nawet dorośli ulegli jej czarowi. Na pewno wielu ze starszych i poważnych gości przypomniało sobie te czasy, kiedy świat jasny, piękny i beztrojski, świat bajki, był ich własnym światem. I patrząc na snującą

się przed ich oczyma fantastyczną historię poczuli się może dziećmi przeżywając najszczęśliwszy okres swego życia. Uroku dodawały sztuce ładne, starannie obmyślane kostiumy i dekoracje oraz śliczne tańce: taniec kwiatów, świetlików, menuet, lamsjer. Bardzo efektowna i w takim „bajkowym” stylu jest pierwsza i ostatnia scena.

Wybija dwunasta godzina na starym zegarze. Na srebrny dźwięk kurenta czują się cały zaczerpnięty świst lalek dzieciennego pokoju... I ostatnia. W dumna, płynna melodie poloneza wdzierają się zdradziecki głos zegara. —Już świt się zbliża—szepczą usta Królewicza—Motyle, który odchodzi, by o północy znów ożyć. Długi korowód taneczny żałuje się i miesza. Wszystkie zabawki wracają na swoje miejsca... „Do widzenia, Laleczko!”—To ostatnie słowa królewicza... I nagle, niby za dotknięciem



Uroku dodawały sztuce ładne kostiumy

różdżki czarodziej-
skiej, na dźwięk starej
melodii kuranta cały
ten świat przed chwi-
lą żywy, radosny i
śmiejący — zamiera...
To koniec!

* * *

Wraz z mrokiem,
który ciemnym płasz-
czem otulał Mariówkę,
pustoszała ona coraz
bardziej. Goście od-
jeżdżali... Mariówka
zostawała sama, z da-
ła świecąc swymi licz-

nymi oknami, samotna i opuszczona wśród pustych, bezmiernych obszarów
pól... Czy sama?...

O, nie! Zostawały w niej wesole i beztroskie dziewczęta i dopóki
one są, Mariówka nie jest samotna. I dopóki one będą, ten olbrzym-gmach
będzie szczęśliwy, bo będzie miał cel, dla którego został stworzony. Tym
celem dla niego — to zbiorowe, pulsujące życiem serce młodzieży.

Zapadł w mrok ostatni dzień kwietnia, rozplywał się bezbarwny już
i bez wyrazu w ciemnościach nocy, ale nie ginął! Jasnymi, złotymi zgłoska-
mi wpisał się na białej karcie chwalebnej historii Mariówki.

Nela Drożdżowa kl. IV.



Historia szkół w Mariówce

**Referat wygłoszony przez P. Jarząbkównę, Przełożoną
Średniej Szkoły Zawodowej w Płocku, z okazji poświęce-
nia gmachu Gimnazjum i Liceum w Mariówce Opoczyń-
skiej w dniu 30 kwietnia 1939 r.**

Jako jednej z najstarszych, dawnych pracowniczek tutejszych szkół,
przypadł mi w udziale zaszczyt zapoznania Dostojnych Gości z historią
rozwoju szkół w Mariówce Opoczyńskiej.

Zanim przystąpię do właściwego tematu, pozwolę sobie najpierw
oświetlić tło ideowe, z którego wykwitły te dzieła.

Gdy po nieudanym powstaniu w 1863 roku cała Polska pokryła się kirem żałoby, gdy wdowy i sieroty, nieutulone w bólu, zmagaly się z biedą i nędzą, a krwiożerczy wróg tryumfował, że zwycięży „miateżników”, wówczas to Opatrzność wzbudzała tu i ówdzie w uciemnionej Ojczyźnie bohaterskie jednostki, które podejmowały trud w imię najwyższych ideałów i szły, by jednym nieść ukojenie, a drugim kaganiec oświaty. Szły przede wszystkim do tych nierozbudzonych patriotycznie, a bałamuconych przez Moskali mas ludu polskiego.

Polska skuta w kajdany, jęcząca w niewoli, pozbawiona swobody działania musiała się kryć w podziemiu konspiracji i tam wynagradzać sobie krzywdy wyrządzane na zewnątrz.

Zaroiło się też od nielegalnych stowarzyszeń i organizacji, z których jedne zmierzały do uświadamiania patriotycznego ludu, inne do pogłębiania upadającej w duszach wiary i moralności chrześcijańskiej, bo Moskal zwalczał z równą zaciekłością jedno i drugie.

Upływały lata niewoli, na polskiej ziemi mnożyły się szubienice i kurhany, na ołtarzu Ojczyzny kładli życie najlepsi obywatele: a jednak nie nie udało powstrzymać posiewu krwi, który z tajgi Sybiru przynosiły ciężkie chmury, śniegowe chmury. O, bo te chmury były nala-dowane nie tylko złodowaciałymi płatami śniegu, ale i posoką krwi polskiej naszych braci i ojców najlepszych.

W takiej atmosferze, choć zrodzone w niewoli, skute od powicia, wychowywały się pokolenia młodych Polek i przekazywały swym następ-czyniom obowiązek walki o ducha narodu, o niepodległość, o honor polskiego imienia i o poprawę doli ludu siermiężnego.

Zapewne wiele ich było, bo zdołały tchać w skostniały organizm nowe życie i wyśpiewać Zmartwychwstanie Polski.

Z tego okresu wywodzi się organizacja tajna, zrzeszająca młode i niezamężne Polki, ożywione duchem religijno-patriotycznym. Wiele świetlanych postaci już odeszło do lepszego życia, jak św. pamięci Eulalia Markowicz, która za pracę oświatowo-religijną, więziona i męczona w X pawilonie Cytadeli Warszawskiej, zmarła od zadawanych jej tortur, ale organizacji nie zdradziła; jak św. pamięci Anna Denes aresztowana w Krasnymstawie, więziona w Tomaszowie Lubelskim, też zmarła, nie zdradziwszy nikogo. Są jeszcze wpośród nas, które nie wypuściły z rąk twardego oręża pracy. Wprawdzie pochylone i utrudzone, ale radosne, bo widzą między innymi plony i swoich wysiłków.

Gdy czujność moskiewska nieco złagodniała, spadkobierczynie ide-owej organizacji żeńskiej występują jawniej w charakterze kulturalno-oś-wiatowym, jako prywatne zespoły zmierzające do szerzenia oświaty zawodowej.

Z ich inicjatywy po wioskach i miasteczkach powstają pracownie,

sale zajęć, ochronki, sklepy i jadalnie, by w ten sposób mieć wpływ na pewne środowiska. Każdy z tych punktów pracuje cicho, o jak największym charakterze prywatnym, w rodzaju przedsiębiorstwa, by nie zdradzić właściwego posłannictwa. Tu wiele zapalonych patriotek podejmowało się najniższych posług; gdy było potrzeba, przebierały się w szaty prostaczki, by tylko zdobyć sobie przystęp i zaufanie ludu.

Po uruchomieniu szeregu wyżej wspomnianych placówek i tajnych kompletów szkolnych w 1903 roku członkinie Zarządu: Pani Sieradzka, Zmysłowska, Bożenna Kahl i Maria Domańska oraz cały legion podkomendnych z różnych sfer zapragnęły założyć placówkę zalegalizowaną, służącą do szerzenia oświaty i patriotyzmu wśród ludu. Chodziło o to, by przygotować nowe kadry bojowniczek.

Okolice ruchliwe, zbliżone do miast nie nadawały się na taką instytucję ze względu na czujność władz moskiewskich, więc upatrzono zabita od świata deskami, ciemną i oddaloną od kultury ziemię opoczyńską.

Z funduszków wniesionych przez zamożniejsze członkinie, stojące u steru Towarzystwa, zawsze jeszcze zakonspirowanego, z wiosną 1903 roku odkupiono od pp. Kiedrzyńskich w Smogorzowie 3 włóki ziemi z małą służbową chałupką i tegoż lata położono fundamenty pod pierwszy dom, mający stać się „głową węgla” przyszłej Mariówki.

Z nastaniem jesieni 1903 roku stanął pierwszy dom, w którym od razu uruchomiono Szkołę Gospodarczą dla dziewcząt wiejskich.

Zacofana ludność miejscowa nie była zdolna dostarczyć materiału uczniowskiego, trzeba było zdobywać takowy z różnych okolic Polski, gdzie praca Towarzystwa była już znana. Pierwsze zespoły uczniowskie były bardzo rozmaite, nie brakło tu nawet Żmudzin i Litwinów, dzięki zasięgowi i wpływom pań stowarzyszonych. Frekwencja jednak zawsze była duża.

Właścicielką i pierwszą dyrektorką Szkoły Gospodarczej była p. Kahl. Dzielnie zawsze i wszędzie sekundują jej p. Sieradzka jako nauczycielka i niezmordowana wychowawczyni, p. Zmysłowska jako główny budowniczy. — Szkoła rozwija się, robi się ciasno i trzeba znów budować. W roku 1907 powstaje drugi dom, a w dwa lata później trzeci.

Ludność okoliczna i miejscowa nabiera zaufania. Z Mariówki promieniuje oświata i okazja zarobkowania, więc podnosi się dobrobyt bardzo ubogiej wiośliczyny Smogorzowa. Szkoła, widząc potrzeby regionalne, zaprowadza przy nauce gospodarstwa i naukę fachów. Sprawdza ulepszone warsztaty tkackie, zaprowadza plantację wikliny i uczy wyrobów koszykarskich, w krótkim czasie dodaje naukę krawiectwa, pończoszarnictwa, trykotarstwa, introligatorstwa, a nawet szewstwa.

W roku 1910 szkoła po uczynionych staraniach otrzymuje koncesję od rządu rosyjskiego jako Szkoła Rzemieślniczo-Gospodarcza. Ale jedno-

częście władze moskiewskie podejrzewają szkołę, że wywiera jakiś wpływ ideowy, uczy czytać i pisać, czego nie było wolno, więc też zarządziły czujniejszą obserwację.

Skończyła się względna swoboda i zaufanie. Czynnicy moskiewscy często odwiedzają szkołę, robią rewizję; badają okolicznych wieśniaków, czego uczą w szkole, ale mimo wszystko podobała się im organizacja pracy i dobre rezultaty.

Gdy w latach 1911 i 1912 organizują się wystawy w Sandomierzu i Staszowie, szkoła bierze w nich udział. Za eksponaty na wystawie w Sandomierzu szkoła otrzymuje „Złoty medal”, w Staszowie za wyroby tkackie i kilimy — „Dyplom uznania”.

Nie cieszyły jednak dzielnych bojowniczek te sukcesy, bo Moskale coraz bardziej dawali się we znaki, musiał ktoś denuncjować, bo ciągłe rewizje zakłócały spokój. W końcu przyszło do tego, że sprowadzono specjalnego urzędnika z Petersburga, który nie mogąc zamknąć szkoły, w której nie znalazł nic nielegalnego, zarządził choć rozwiązanie internatu.

Mimo wszystko, jakby na przekór Moskalom, szkoła wciąż jest pełniona. Do współpracy zgłaszają się zamożne osoby, jak: pp. Rościszewskie, Kleniewskie i inne, które wnoszą, nie tylko majątek, ale i wielki zapal do pracy. Dobre rezultaty prowadzonych ochronek i tajnych szkółek domagają się przygotowania nowych pracowniczek ze specjalnym wykształceniem, więc postanowiono otworzyć Szkołę Ochroniarską, wysłano kilka członkiń na praktykę do Warszawy, by zapoznały się z programem i urządzeniem tego rodzaju szkoły. Szkoła Ochroniarska miała powstać pod egidą Szkoły Rzemiosł bez specjalnej koncesji. Było to w początkach 1914 roku. Podczas ostatnich gorączkowych przygotowań zaskoczyła Mariówkę wiadomość o wybuchu wojny. Zamiast Szkoły Ochroniarek trzeba było myśleć, jak zabezpieczyć się przed wypadkami wojny, jak przy ciągłych rekwizycjach zaopatrzyć w żywność dom, mieszczący w sobie około stu osób.

By nie łamać rąk bezradnie, Mariówka wkrótce wprzęga się w rydwan pracy codziennej a czujnej, przyswieca okolicznym rezerwistkom odwagą, zakłada ochronkę, by odciążyć matkom pozbawionym męskich rąk do pracy i jak może, wspiera moralnie i materialnie skolatane kobiety.

W tym czasie, jak jasny obłok na pochmurnym niebie, ukazał się w Mariówce, znany już dawniej, wielkiej zacności Ksiądz Doktor Julian Młynarczyk, wicerektor Seminarium Duchownego w Sandomierzu.

Uczelnia zamknięta, profesorowie powyjeżdżali, szukając bezpiecznych miejsc, a kochany Ksiądz Młynarczyk przyjechał do Mariówki nie po to, aby się skryć bezpiecznie, bo nie było na to najmniejszej gwarancji, ale po to, żeby nieść pociechę i pomoc w potrzebie.

Został więc tu, przypuszczając jak wszyscy, że wojna długo trwać nie będzie, że powróci na swe stanowisko. Stało się inaczej, wojna szalała, fronty obsadzone i o powrocie mowy być nie może. Konieczność zmusiła go do dłuższego pobytu w Mariówce, zorganizowano prywatną kaplicę, ksiądz Młynarczyk został przygodnym kapelanem, pocieszał strapiionych i zaczął studiować tę placówkę, co by w niej można było jeszcze zrobić. Po naradach zdecydowano się uruchomić projektowaną dawniej Szkołę Ochroniarek dla tych młodych osób, które wówczas z konieczności musiały przebywać też w Mariówce. Było to w jesieni 1914 roku. Wśród łun pożogi, przy grzmotach kul armatnich, dochodzących z różnych stron, powstała w Mariówce jeszcze jedna szkoła: Szkoła Ochroniarska.

Choć od czasu do czasu przeciągają wojska i wnoszą ze sobą spustoszenie, jednak Mariówka nie uległa zniszczeniu, czego się bardzo obawiano. Po zajęciu tej części Polski przez wojska okupacyjne, a stało się to stosunkowo prędko, Mariówka znów zaczyna swą pracę. Macierz Szkolna i Komitety Obywatelskie tworzą placówki oświatowo-wychowawcze, więc absolwentki Szkoły Ochroniarskiej jakby na zamówienie były gotowe.

Członkinie posiadające jakiegokolwiek wykształcenie podejmują się prowadzenia szkółek początkowych, by zwalczać analfabetyzm, tak gorliwie pielęgnowany przez Moskali.

Od tej chwili Mariówka rozsyła, gdzie tylko można dotrzeć i potrzeba, swoje członkinie, które z hasłem „Dla Ciebie, Polsko!“ podejmują trud i pracę. Ksiądz Doktor Julian Młynarczyk nie ogranicza się do spełnienia obowiązków kapłańskich jako kapelan, ale jednocześnie pomaga w pracy pedagogicznej i pracuje naukowo. W tym czasie ukazała się w rękopisie książka pod tytułem: „Pogadanki religijne z małymi dziećmi“. Książka była owocem wykładów metodyki religii w Szkole Ochroniarek. Książka ta wydrukowana w 1917 r. oddała wielkie usługi przy nauczaniu religii i moralności małych dzieci. Zalecona przez Ministerstwo Oświaty doczekała się czterech wydań w kilkunastu tysiącach egzemplarzy, a Ksiądz Doktor Julian Młynarczyk zasłynął jako wysokiej miary pedagog i znawca duszy dziecięcej.

Władze okupacyjne odnosiły się przychylnie do obu szkół, nie dziwiła ich również praca oświatowa, bo wielu ich było z Galicji, a więc Polacy spod zaboru austriackiego. W krótkim czasie ruszyły i inne uczelnie i kochany Ksiądz Młynarczyk opuścił Mariówkę.

Pomimo bardzo solidarnej pracy obie Szkoły: Rzemieślnicza i Ochroniarska nie mogły się pomieścić w Mariówce, zaczęto myśleć o potrzebie rozbudowy, ale przewlekająca się wojna i brak środków stawały na przeszkodzie.

Gdy na zegarze wypadków dziejowych wybiła godzina Zmartwychwstania Polski, nowe życie wstąpiło i do zakładów mariowskich. Po zawarciu pokoju, gdy Polskę zaczęto budować od podstaw, Mariówka znów staje do apelu i z największym wysiłkiem zabiera się do budowy gmachu już dawniej zaprojektowanego. Obliczono go na 60 uczennic w Szkole Ochroniarskiej z internatem. Było to w 1919 r. Z wiosną tegoż roku rozpoczęto kopanie fundamentów i gromadzenie materiałów. Niełatwo było jednak budować bezpośrednio po wojnie. Towarzystwo wyczerpane zastojem pracy zarobkowej borykało się z trudnościami, a jednak nie mogło się powstrzymać od powzięcia decyzji. Po prostu ryzykowano, licząc na Opatrzność i dobrą wolę swych członkiń.

Skorzystano, że jeszcze było sporo osób w sile wieku nie mogących odjechać na swoje posterunki, te zmobilizowano do pracy przy wyrabianiu cegły pod kierunkiem fachowca-strycharza.

Zapał do nowego rodzaju pracy ogarniał wszystkich coraz bardziej. Każda mieszkanka Mariówki chciała mieć swoją cegielkę w gmachu, więc na wyścigi ubiegały się, która zrobi więcej. Często na cegielkach rysowały swoje imiona, nazwiska lub hasła „Dla Polski” „Dla Narodu” i t. p.

W roku 1920 stanęły mury i widać było cegły oznaczone różnymi napisami, świadczącymi, z jakim wysiłkiem pracy ludzkiej powstały. Od wczesnej wiosny 1921 r. wzięto się do wykończenia domu, by na nowy rok szkolny można było Szkołę Ochroniarską przenieść do własnego gmachu.

Ponieważ Kasa Towarzystwa była wciąż prawie pusta, Opatrzność przysłała z pomocą, bo oto dawna znajoma z zakonspirowanej organizacji, Maria Drejka, uboga krawcowa, znalazła się w Ameryce, prowadząc pracowity żywot robotnicy w fabryce odzieżowej. Całe życie przyszywała tylko kieszenie do palt. Sterana wiekiem, ale ożywiona duchem miłości Ojczyzny, dowiedziawszy się o pracach i wysiłkach podejmowanych dla dobra i podniesienia kraju, za którym szczerze tęskniła i chciała widzieć wielkość Polski i potęgę Jej moralną, zmobilizowała podobne sobie robotnice, by ze wspólnych ofiar zasilić kasę Towarzystwa. Dolary wówczas dobrze stały, więc każda ich setka ułatwiała niezmiernie pracę.

Ksiądz Doktor Julian Młynarczyk od czasu pobytu swego w Mariówce podczas wojny został stale oddanym przyjacielem tej placówki i zawsze dzielił jej troski i radości. Będąc w Sandomierzu, wiedział o każdym dolarze, jaki wpłynął z Ameryki. Ponieważ Maria Drejka uprawiała swą kwestę wśród podobnych sobie niewiast z ludu, potrzebowała dla nich zapewnienia, że pieniądze nie idą na inne cele, lecz są używane według intencji ofiarodawczyń na budowę szkoły dla dziewcząt z ludu. Ksiądz Wicerektor był tu autorytetem, który pismem swym stwierdzał

użytkowanie pieniędzy. Po wykończeniu gmachu i przeniesieniu szkoły zrobiono zdjęcia i wysłano do Ameryki album z podziękowaniem za okazaną pomoc, a w księdze wieczystej szkoły są wypisane poszczególne nazwiska i ofiarowane sumy.

Nieograniczony w pomysłach Ksiądz Doktor Julian Młynarczyk podczas pobytu swego w czasie wakacji w 1921 r. pięknie przedstawił Zarządowi Towarzystwa potrzebę szerzenia oświaty, wychowania dobrych nauczycielek, zachęcał do otwarcia Seminarium Nauczycielskiego. Nowo-wybudowany gmach wyolbrzymił się w naszej wyobraźni i zdawało się, że pomieści z powodzeniem obie szkoły. Szkół nie było za wiele, władze polskie chętnie dały koncesję na nazwisko Pani Bożenny Kahl, która była właścicielką wcześniej powstałych szkół. W roku szkolnym 1921-22 czynne były już obie szkoły w nowym gmachu. Jednak Szkoła Ochroniarska w następnych latach malała, bo kandydatki wołały wstępować do Seminarium Nauczycielskiego, które też rozwijało się z roku na rok.

Pierwszym personelem Seminarium Nauczycielskiego były siły obu poprzednich szkół a więc: Pani Sieradzka jako Dyrektorka i Nauczycielka, pani Kahl, pani Łabęcka, obecna Dyrektorka Państwowego Seminarium Ochroniarskiego w Mysłowicach, utalentowana artystycznie p. Stanisława Sierpińska oraz p. Bedyńska i Jarząbkówna. Prefektem był miejscowy Proboszcz Ksiądz Andrzejczak.

W roku 1922 wielkim wysiłkiem musiał stanąć jeszcze jeden dom mieszkalny dla nauczycielstwa. Ponieważ Towarzystwo nie mogło liczyć już na pomoc finansową z zewnątrz, postanowiono sprzedać niektóre obiekty i za otrzymane pieniądze budować.

Na rok szkolny 1922/23 Dyrekcja osiągnęła wielki sukces, bo zdobyła Księdza Doktora Juliana Młynarczyka na prefekta szkoły i duchownego przewodnika. Pod względem personelu nauczycielskiego Mariówka miała szczęście zdobywać siły utalentowane, wykształcone i stojące wysoko pod względem moralnym, dlatego szkoła od razu stanęła na odpowiednim poziomie i wzbudziła zaufanie u władz, tak że pierwszy wizytator, p. Karol Drewnowski wpisując się do Księgi Wieczystej w 1923 r. stwierdza: „Między ideą, jakiej służą pracownicy Seminarium Nauczycielskiego tutejszego, a jej stosowaniem nie ma rozbieżności, odwrotnie, istnieje zbieżność na najlepszych ludzkich wysiłkach oparta i to stanowi jego moc”.

Seminarium Nauczycielskie rozwija się pomyślnie, bo powstało pod wpływem najszlachetniejszych haseł niesienia zdrowej i czystej oświaty pod strzechy wiejskie. Uczennic przybywało, ale przeważnie bardzo biednych. Były sieroty po bohaterach wojennych, były córki ziemian kresowych, pozbawionych dachu nad głową, były też dziewczęta małorolnych wieśniaków i robotników z okolicy. Wszystkie one

musiały otrzymać ulgi w opłatach, bo płacić nie miały czym, a były bardzo potrzebne rodzicom, którzy liczyli na ich pomoc po skończeniu szkoły.

Podstawą prowadzenia szkoły były opłaty, które wpływały ze Skarbu Państwa na dzieci urzędników państwowych, ale na opłacenie personelu nie wystarczały. Szkoła borykała się z trudnościami, więc po prostu spróbowano odwołać się do gorących serc Polonii w Baltimore.

Chodziło o zdobycie choć ulgowych opłat za naukę w szkole i pomoc osobistą biednym uczennicom. Zwrócił się tym razem sam Ksiądz Kanonik Młynarczyk do p. Drejka z prośbą o zorganizowanie przybranych „Chrzestnych Matek” dla ubogich uczennic Seminarium. I ten apel nie pozostał bez echa. Zaczyna p. Drejka zakrzętnęła się około tej sprawy i zdobyła dla 10 uczennic „Chrzestne Matki”, które dla swych pupilek przysyłały od czasu do czasu dolara i coś z odzieży, a szkole płaciły za każdą z wybranych 25 dolarów rocznie. Nie była to pełna opłata szkolna, ale w budżecie szkoły odgrywała dużą rolę. Przybrane chrześniaczki odwdzięczały się swoim dobrodziejkom serdeczną podzięką i drobnymi robótkami przesyłanymi na gwiazdkę.

Szkoła pełniła swoją misję, a uczennice zapalone do przyszłej swej misji zaprawiały się od początku i do różnorodnych prac społecznych. Samorząd szkolny obejmował nie tylko wewnętrzną pomoc administracyjną, ale i samokształcenia, prowadzono sklepik szkolny jako wzorową spółdzielnię, pracowały grupy: literacka, artystyczna, przyrodnicza i towarzyska, każda z grup miała własne pole działania i opiekę odpowiedniej nauczycielki. Co miesiąc na ogólnym zebraniu dawano sprawozdanie z pracy, wygłaszano referaty wychowawcze i omawiano sprawy bieżące na najbliższy miesiąc.

Nie od rzeczy będzie uchylić też kulisy organizacji pracy w internacie. Gmach szkolny, choć skanalizowany, jednak wodę do kranów trzeba było kręcić ze studni, tę czynność pełniły uczennice same, mając wyznaczone dyżury przez samorząd szkolny. Samorząd szkolny w ogóle odgrywał wielką rolę samowychowawczą. Wychowawczynie chcąc przygotować przyszłe nauczycielki do szerzenia nie tylko oświaty, ale i kultury, musiały w uczennicach, rekrutujących się początkowo przeważnie z ludu, wyrabiać poczucie porządku i ładu. W tej dziedzinie było dużo do zrobienia. Aby uzyskać lepsze rezultaty, postanowiono wciągnąć uczennice do bezpośredniej pracy, a więc utrzymanie porządku w klasach powierzono uczennicom. Dyżury i kolejność prac wyznaczał samorząd klasowy. W jadalni same nakrywały stoły, podawały i obsługiwały sobie oraz zmywały talerze i czyściły noże.

Przez te prace bezpośrednie młodzież ogromnie zżywała się ze swoją szkołą, dbała o jej wygląd i zabiegała o wytworzenie opinii wśród

społeczeństwa. By wychowanie przyszłych nauczycielek było wszechstronne, grupy towarzyska i artystyczna bardzo usilnie zabiegały o to, by na terenie szkoły odbywało się dużo imprez, które by uczyły, jak je w dalszej pracy stosować, również staraniem tych grup urządzano uroczyste śniadania, obiady, podwieczorki i tak zwane „herbatki”, by za pomocą tych poglądowych lekcji przygotować młodzież do życia kulturalnego i praktycznego. Rezultaty tych poczynąń były bardzo dobre, dziewczęta się wyrabiały i usamodzielniały.

Z objęciem przez Księdza Doktora Juliana Młynarczyka lekcji religii i psychologii powstała dla wyższych kursów Seminarium Nauczycielskiego Sodalicia Mariańska, której zadaniem było pogłębienie znajomości religii i oddziaływania kościoła katolickiego na duszę. Sodalicia rozwijała swą pracę w dwóch sekcjach: misyjno-charytatywnej i katechetycznej. Paroletnia praca w Sodalicii, świetnie prowadzona przez Księdza Kanonika, dawała absolwentkom możliwość podejmowania się prowadzenia religii w szkołach.

Seminarium po osiągnięciu swego rozwoju szło śmiało naprzód. Dyrekcja Szkoły z Zarządem Towarzystwa czuwała wciąż nad zdobywaniem najnowszych pomocy szkolnych, ulepszeń i narzędzi. Ksiądz Kanonik z własnych funduszy zaopatrywał bibliotekę szkolną. Dzięki Jego ofiarności Seminarium zdobywa do biblioteki najlepsze dzieła wchodzące w skład lektury szkolnej i domowej uczennic. Z biegiem lat tworzy się biblioteka nauczycielska i biblioteczki klasowe. Dziś biblioteka ogólna posiada przeszło 5.000 tomów.

Ustabilizowanie się opinii Seminarium sprawia, że frekwencja jest tak duża, że wcale nie może pomieścić zgłaszających się kandydatek. Podczas wakacji roku szkolnego 1924 trzeba koniecznie rozbudować gmach. Towarzystwo podejmuje i ten trud, by z nastaniem wakacji pośpiesznie wziąć się do rozbudowy mansardy. Mimo wysiłku i pośpiechu ze strony fachowców nie zdołano całkowicie wykończyć nadbudówki. Nadszedł tragiczny wrzesień 1924 roku, zjechała młodzież nadspodziewanie licznie, a tu nie ma gdzie pomieścić.

Wybredniejsze kandydatki odesłano do domu, a odporniejsze, pragnące za wszelką cenę uczyć się w Mariówce, zostały, dzieląc ze wszystkimi trud i niewygodę. Z braku miejsca na sypialniach uczennice na noc rozkładały pościel w klasach, by rano znów ją składać i tak było przez całe dwa miesiące do wykończenia mansardy.

Te chwilowo niedostateczne warunki higieniczne nie zniechęcały młodzieży, owszem, brały je na wesoło, widząc, z jaką skwapliwością Dyrekcja dąży do jak najszybszego ukończenia nadbudówki i dania swym wychowankom maximum wygody.

Nadbudowa mansardy nie na długo wystarczyła, w 1928 r. trzeba było zapoczątkować budowę według planów dawniej zatwierdzonych na pomieszczenie sal wykładowych, — pierwszy gmach wraz z mansardą przeznaczony był na internat.

Ciężar prowadzenia Seminarium i ciągłych wydatków na urządzenia dźwiga szlachetne Towarzystwo na swoich barkach, ale już nie jako tajna, zakonspirowana organizacja, lecz jako Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe „Samopoc” zalegalizowane przez władze polskie. Pani Sieradzka, dotychczasowa Dyrektorka Seminarium, będąc Prezeską Towarzystwa, oddaje kierownictwo Seminarium w doświadczone ręce Księdza Kanonika Młynarczyka, sama ze zdwojoną gorliwością zabiega o fundusze na wykończenie domu środkowego, w którym obecnie przebywamy.

Władze szkolne i administracyjne, widząc niepokonany pęd Dyrekcji i Zarządu do wytworzenia jak najlepszych warunków nauczania, dają wyraz swemu zadowoleniu. Szkołę zaliczają do pierwszorzędnych zakładów tak pod względem poziomu naukowego, jak i warunków terytorialnych, zaś pionierów tej pracy: Księdza Dyrektora, Panię Sieradzką i Kahl dekorują „Złotym Krzyżem Zasługi”.

W Związku z ustawą o reformie szkolnej Towarzystwo likwiduje będące w rozkwicie Seminarium, a z rokiem szkolnym 1933-34 otwiera pierwszą klasę gimnazjum nowego typu oraz czwartą klasę gimnazjum humanistycznego dawnego typu. W tym czasie na terenie Mariówki pracują cztery szkoły: Szkoła Rzemiosł, Seminarium Nauczycielskie w likwidacji i dwa gimnazja ogólnokształcące.

Ostatnia matura Seminarium Nauczycielskiego w Mariówce w 1936 r. zamyka chlubne piętnastolecie istnienia tegoż Seminarium, wypuszczając w świat trzydzieści maturzystek jako dopełnienie do trzystu solidnie przygotowanych nauczycielek.

Skończyło się Seminarium Nauczycielskie. Mury szkolne zajmują gimnazja, a ucząca się obecnie młodzież to inny element, nie mający jeszcze bezpośrednich zainteresowań zawodowych. Spotkać tu można przedstawicielki różnych dzielnic prawie z całej Polski. A po co tu idą do Mariówki? Idą po solidną wiedzę, a jeszcze bardziej po dobre, katolickie wychowanie, bo szkoła ta ma ustaloną już tradycję „Radosnej Szkoły”, gdzie nauczyciel zbliżony do ucznia, a uczeń kocha i darzy zaufaniem swego nauczyciela. Nawet Władza, gdy wejdzie w te mury poddaje się ogólnemu nastrojowi i staje się od razu bliską i kochaną.

Na potwierdzenie tych słów mogę przytoczyć zdanie p. Wizytatora z r. 1937-go, wyjątek ze sprawozdania powizytacyjnego: „Miałem możliwość przyjrzenia się młodzieży szkolnej w bardzo rozmaitych momentach jej szkolnego i pozaszkolnego życia. We wszystkich tych momentach młodzież przedstawiała się niezmiernie korzystnie. Można stwier-

dzić serdeczne, siostrzane stosunki, łączące uczennice, bliski i nacechowany głębokim zaufaniem stosunek do Dyrekcji i członków Grona Nauczycielskiego, wysoki poziom wyrobienia towarzyskiego, rzetelne traktowanie swych obowiązków. Można ogólnie stwierdzić, że Zakład umie rozwijać wewnętrzną dyscyplinę młodzieży i dobry stopień karności przy prawie zupełnym braku skrepowania młodzieży i dużej swobodzie w obcowaniu z Dyrekcją i Gronem Nauczycielskim. Grono Nauczycielskie pod względem metodycznym stanowi zespół zharmonizowany, mający w swym łonie osoby o nieprzeciętnych zdolnościach pedagogicznych. Organizacja pracy Grona bardzo dobra, metody pracy poszczególnych nauczycieli są poprawne i dają należyte wyniki".

Gdy spojrzymy na dalszy rozwój szkoły, widzimy w rezultacie powtarzającą się historię. Gimnazjum w rozkwicie, frekwencja duża, przybyły dwa licea: humanistyczne i przyrodnicze i znów ciasno. Znów Zarząd Towarzystwa i Dyrekcja Szkoły łamią sobie głowy, skąd wziąć pieniędzy na dalszą rozbudowę, bo Liceum nie może się pomieścić.

Ze wzrokiem utkwionym w Opatrzność Bożą rozpoczyna się budowa nowego pawilonu. W lecie 1938 roku Towarzystwo zdobywa 5.000 zł., a stawia dom obliczony na 350 tysięcy. By nie kusić Pana Boga o cud, ogranicza się do postawienia połowy gmachu. Wszystkie starania o subsydia zawiodły, nawet większej pożyczki z banków i instytucji kredytowych zdobyć nie było można, a gmach jakby na urągowisko wspinał się do góry.

Gdy byłam tu w lipcu ubiegłego roku, widziałam pośpiech i gorączkę w pracy, bo gmach musi być oddany do użytku od września. Przypomniat mi się tragiczny wrzesień 1924 r. i pomyślałam, czy aby nie powtórzy się fakt.

Gmach jednak stanął i kryje w sobie tajemnicę trudu, udręki i nieprzespanych nocy ze zmartwienia, czym płacić robociznę, skąd wziąć na zapłacenie materiałów.

Myślę, że nie obrażę Szanownego Zarządu i Czcigodnego Księdza Dyrektora, gdy uchylę rąbka tej tajemnicy. Proszę Państwa, Zarząd sprzedawał, co tylko mógł i miał, członkinie zaś zachęcał do ofiar. Zapewne niejednen posag utonął w tych murach. Niejedną noc przepracowano, by kilka zł. odłożyć na budowę, wyzbyto się niejednej szaty, by ufundować choć jedno okno lub kawałek posadzki. — To są ofiary ze strony Towarzystwa, a jakie ponosił Ksiądz Dyrektor?

Przyznać trzeba, że jest głównym sprawcą tej udręki, jego to opinia ściąga setki uczennic do szkoły, jemu też nie jest obojętne, by Zakład odpowiadał przeznaczeniu, skutkiem tego i konsekwencje musi ponosić.

Najpierw oddawał każdy prywatny grosz na pierwsze roboty.

Całe zeszłoroczne wakacje jeździł, by zarobić na budowę. Gdzie nie mógł otrzymać, to pożyczał, nie wymagał wiele, ale jeździł z planami w ręku i pomiędzy znajomymi, stałymi czy przygodnymi, fundował to okna, to drzwi, to kawałek posadzki, a zdarzyło się nawet, że nie pogardził nawet kilku złotymi, mówiąc: „To będzie na zamek do drzwi”.

Gmach stoi, dziś został poświęcony i z Błogosławieństwem Bożym służyć będzie ludzkości. Ksiądz Dyrektor wraz z Towarzystwem znów myśleć będą o dalszej rozbudowie, na co „Szczęść Wam, Boże!”



REFERAT

Wandy Ciesielskiej uczennicy I-ej klasy lic.

Wśród złotych pól pszenicznych i łąk kwiatami barwnych, wśród cichych jabłoni i brzóz zadumanych stoi z dala już widoczny, prosty a potężny w rysunku swych szarych murów gmach.

To Mariówka, nasza Mariówka!

Szkoła, w której nam dobrze i którą sercem całym kochamy, miejsce najcudniejszych, młodzieńczych marzeń i snów, ukochaniem promiennych, miejsce, gdzie przygotowują nas do życia ucząc, że powinno ono być jasne, piękne i dobre. Może ktoś, kto nie zna nas i naszej Mariówki, kto wie o niej tyle tylko, że, oddalona od życia i gwaru tętniących miast, utrzymuje naprawdę bardzo mały kontakt z tak zwanym „wielkim światem” — powie z pobłażliwym, litości pełnym uśmiechem: „Biednel” (to ni- by o nas).

Może nasze koleżanki z Warszawy, Krakowa czy Wilna czują się od nas dużo szczęśliwsze, mogąc korzystać z wszelkich zabaw i rozrywek, może wreszcie my same jechałyśmy tu kiedyś ze łzami, rozpaczą, dzikim strachem i najświętszym przekonaniem, że „przecież ta Mariówka jest naprawdę nie do wytrzymania.”

Nie chcę w to wchodzić, bo wiem dziś jedno tylko: to wszystko jest najzupełniej bezpodstawne, nieprawdziwe. Bo jeśli ktoś sądzi jeszcze w ten sposób, jeśli Mariówkę uważa jedynie za beznadziejnie nudne więzienie, coś w rodzaju św. Krzyża w mniejszym tylko nieco wydaniu, to — prosimy, niech zostanie tu z nami choćby przez jeden krótki miesiąc, niech w tym czasie żyje, myśli i czuje tak jak my wszystkie, a na pewno zmieni zdanie.

Jest nas tu przecież tyle wesołych i roześmianych, pełnych życia, werwy i humoru dziewczynek, jesteśmy jednym wielkim żywiołem radości, który, wypełniwszy szkołę, z triumfem rozwinął nad nią najpiękniejszy na

świecie, ufnością w jasne Dziś i Jutro słoneczny sztandar: sztandar Młodości.

I choć prawda to, że nie ma u nas tylu wspaniałych i imponujących rzeczy, co gdzie indziej, choć czasem ten daleki świat nęci, to—proszę powiedzieć, czy może być źle dziewczynkom bezwzględnie żytym, żyjącym w jednej wielkiej i kochającej się rodzinie?

A czy w ogóle można tu choćby myśleć tylko o jakiegokolwiek nudzie, kiedy właściwie w ciągu dnia całego nie ma prawdziwie wolnej chwili, kiedy czas jest wypełniony po prostu po brzegi, a sama nawet atmosfera Mariówki nie znosi wszelkiego próżniactwa i bezczynności. Wprawdzie różnie to tam czasem bywa, ale tyle jest przecież zawsze tych ważnych, najważniejszych spraw, które nie potrzebują przecież wielkiego miasta i rozgłosu, a wymagają jedynie rąk chętnych, gorących serc i zapалу.

Mamy, co prawda takie jak w każdej innej szkole, organizacji, które starają się w nas wpoić przekonanie, że najwyższą na świecie mądrością i szczęściem najwyższym jest umiejętność poświęcenia, dania z siebie jakiejś małej cząsteczki, składającej się na jedno wielkie, całej ludzkości mające służyć Dobroł.

Są przecież wsie okoliczne, z którymi w myśl tradycji i starego nie pisanego prawa naszej szkoły mamy iść razem, przyjaźnie i pomocnie.

Jest przede wszystkim nauka i tysiące tym razem najbardziej już indywidualnych zainteresowań, którym poświęcają dziewczynki dużo czasu. Taka praca nie nuży, daje dużo zadowolenia i radości. Że czasem trudna, to przecież nie jesteśmy same, są z nami starsi, lepsi i mądrzejsi: Ksiądz Dyrektor, Pani Przełożona, Grono Nauczycielskie i Panie Wychowawczynie, którzy dokładają wszelkich starań, by pomóc nam i Mariówkę utrzymać taką, jaką ją znano zawsze: prołą, jasną, kochającą i... kochaną.

A Mariówka to przecież my same, my: dwieście kilkadziesiąt granatowych dziewczynek, o sercach, które muszą, które powinny być jasne i proste.

Czy będą — to od nas samych tylko zależy.

O każdej porze roku Mariówka jest inna, niejako zmienia swą postać, oddycha innym zupełnie życiem, inaczej wygląda, bawi się, pracuje. Bo... choć tak jak zawsze czynności każdego dnia regulują te same, we wszystkich stronach gmachu dźwięczące jednocześnie dzwonki i choć takie same jesteśmy i my, i nasza praca—to przecież tylko w zimie, tylko w czasie karnawału odbywają się te jedyne w swoim rodzaju, wesole, żwawe i śmiechem tętniące, ale, niestety, wszelkiego męskiego towarzystwa pozbawione, mariowskie bale, cudowne kuligi i pieszce wędrówki po słońcem rozsypanym śniegu... Przecież tylko na wiosnę Mariówka jest cała w kwiatkach i słońcu... nie, jest cała... kwiatami i słońcem...

Na naszą mariowską wiosnę nie zamieniłybyśmy chyba żadnej innej wiosny na świecie.

Zmieniła się Mariówka, zmieniła się tak bardzo, że ci, którzy znali ją dawniej, poznać teraz nie mogą.

Po prostu nie ma kąta, nie ma miejsca, gdzieby się nie dało zauważyć czegoś nowego, czegoś, o czym dawniej wiedziało się wprawdzie, że jest, ale dla Mariówki dalekie i zupełnie niedostępne.

Dziś—cała filozofia rządzenia tak nieznośną społecznością, jaką jest nasza Mariówka, polega tylko i jedynie na wyszukiwaniu takich udoskośleń i nadzwyczajności, których tu jeszcze nie było.

I tak: była Mariówka ciasna, mała i „chudziutka”—dziś to wspaniale rozrośnięta matrona, królująca nad wszelkiego rodzaju Smogorzowami, Zawadami i Przysuchą. Nie było w niej ani śladu auta—dziś możemy się poszczycić pojazdem wywodzącym się w prostej linii z Rzymu i z dumą obwożącym po tym Bożym świecie imponującą tabliczkę z napisem „Roma”.

Nie miałyśmy dywanów — dziś chodzimy tylko po nich.

Marzenia o prawdziwym, najprawdziwszym aparacie filmowym należały dawniej do tych przysłowiowych „marzeń ściętej głowy”—a dziś przybrały zupełnie realną postać i za „jedne 40 gr.” można ujrzeć najwspanialsze arcydzieła X-ej muzy, poczynawszy od „Wiernej Rzeki”, a skończywszy na niezwykle interesujących „Przygodach Kubusia w Afryce”.

A dalej—garderoba teatralna, przyrządy fizyczne i całe jaszczce mnóstwo dziedzin, które co prawda były i dawniej, ale teraz, dziś, z każdym dniem bogacą się w coraz to nowe, lepsze rzeczy.

Czasu by chyba nie starczyło mi, gdybym chciała wymienić wszystko, naprawdę wszystkie godne uwagi mariowskie „nowalijki”.

Bo wszystko jest okropnie ważne i bez jednej błahej na pozór rzeczy nie sposób sobie po prostu wyobrazić Mariówki.

Naturalnie, zawsze i wszędzie jest, był i będzie najważniejszy Ksiądz Kanonik, bez którego nie byłoby chyba naszej szkoły, później okrutnie ważna jest nasza szkoła, bez której nie byłoby nas, no, a potem my. Ma się rozumieć, że bez nas żadna ludzka rzecz jest w ogóle nie do pomyslenia.

I jeszcze jedno.

Są dwie rzeczy, które nie zmieniły się i nie zmienią na pewno nigdy. Pierwsza z nich to właśnie my—uczennice. Jesteśmy zawsze jednakowe, zawsze takie same.

I wiemy wszystkie doskonale, że starsi żartują tylko, kiedy mówią, że „dawniej to była naprawdę inna, w 100-^o/₁₀ lepsza młodzież”.

Przecież chyba i oni całym sercem muszą wierzyć w to, że młodzi są zawsze i wszędzie tacy sami.

A drugą rzeczą, która w Mariówce nigdy nie ulegnie zmianie, to fakt,

że nam tu dobrze, że kochamy naszą szkołę, z zapałem bierzemy udział we wszelkich imprezach i przedstawieniach, czego dowodem jest chociażby dzisiejsza, wielka dla nas wszystkich uroczystość poświęcenia nowego gmachu, i—że stanowimy z Mariówką nierozzerwalną całość.

Tak pięknie porównał ktoś naszą szkołę do „uśmiechu wiosny”. Więc jeśli prawdą jest, że ludzie tęsknić muszą do wiosny i jej uśmiechu, to kiedyś, gdy już pójdziemy w świat, by siać wśród ludzi to złote ziarno miłości bliźniego, które przez tyle lat pełnymi garściami czerpałyśmy z prostych, a przecież spośród wszystkich innych najmądrzejszych, najlepszych słów Księdza Dyrektora, by szczepić wszędzie wielkie, przedziwne Dobro, Dobro naszej szkoły—to wtedy zatęsknimy na pewno.

I gdziekolwiek, kiedykolwiek to będzie, myśl o każdym dniu tu spędzonym pociechę przyniesie i uśmiech wiosny.

Bo mówią nam tu, że ludzie są dobrzy, bo w cudownych, bajką różową na wiosnę rozkwitłych jabłoniach i w sercach młodych jest—Dusza Naszej Szkoły.



NASZ BENIAMINEK

Nowy gmach! Dwa proste i na pozór mało znaczące słowa. Lecz dla nas, które patrzyłyśmy, jak on rósł, dla nas, które z ciekawością pierwszy raz wchodziłyśmy w jego mury, dla nas, które w nim obecnie mieszkamy, jest czymś więcej: jest najmiłą skarbnią naszych przeżyć, uczuć i wspomnień. Mówiąc o nowym gmachu mamy na myśli te ogromne stosy cegieł, windowanie szyn na górę, przedłużenie wakacji o cały tydzień, malowanie, zakładanie chodników i jeszcze wiele, wiele innych rzeczy. Zaczęć jednak od początku.

Niegdyś w tym miejscu rozłożyste jabłonie ocieniały zielenią swych



Niegdyś w tym miejscu rosły jabłonie...

konarów ławeczki, na których pasjami lubiłyśmy przesiadywać. Naraz... O, Boże! Pamiętam! Niebo płakało, niektóre z nas płakały, wreszcie płakały zasmucone wierzby, towarzyszyki poległych... jabłoni. Trudno. Stało się.

Po kilku dniach zaczęto kopać pod fundamenty, stawiać mury. Te rosły jak na drożdżach. Osiągnęły

wysokość pierwszego piętra, potem pięły się coraz wyżej, wyżej i wyżej...

Pamiętam dobrze te ciągłe biegania po złośliwie trzeszczących i bujających się deskach, po nowych, na razie nieznanym murach. Radości nie było końca: to przecież budował się „nasz” gmach.

Po ostatnich wakacjach było już wszystko wykończzone, mimo że nie wyglądało tak jak dzisiaj. Obecnie nowe skrzydło (przynajmniej mnie się tak zdaje) przypomina jakiś ogromny hotel czy schronisko i różni się dość znacznie od starej części domu.

Mieszczące się na drugim piętrze „kurniki” (sypialnie czteroosobowe) mają jakieś błękitne czy szafirowe story, umywalnie aż po dwa zamki, prócz tego przybyły nowe prysznice, „srebrne” krany z ciepłą i zimną wodą; ściany wymalowane są stosownie do obecnej chwili (maj) na zielono i białą; ale chyba zakątkiem, który wzbudza w każdej z nas największą ciekawość, jest strych. Tak, nic innego tylko ten ciemny strych z małym okienkiem u góry, gdzie trzeba się piąć po belkach i drabinkach, aby wyrzeć na „świat”. Nad głowami krążą białe gołębie, niżej drzewa pysznia się zielenią i kwieciami, a w dali widnieją wsie, pola, lasy, łąki...

Na pierwszym piętrze pokoiki z białymi rzędami łóżek, taboretów, nocnych szafeczek; sypialnie. Lecz te są najczęściej zamknięte podczas całego dnia, więc chcąc czy nie chcąc siada się po turecku pod żółtym szeregiem szaf, na przewspaniałym „perskim dywanie”, którym wysłany jest cały korytarz, bardzo miłe miejsce, gdzie można w spokoju pomarzyć. Jednym słowem, w towarzystwie szaf, widoczków, od których roją się ściany, szarych chodników można bujać w obłokach.

Po „marmurowych” schodach schodzi się na parter i wkrótce jest się w klasach. Dwie jasne, duże sale z rzędami politurowanych stolików i fotelików, z pięknie haftowanymi kotarami na tablicach, z masą obrazków i szlaczków na śnieżnych ścianach, tonące w powodzi kwiatów — to klasy druga i trzecia.

W pobliżu znów dwie sale, chemiczna i fizyczna, przedmiot ciekawości młodszych, które nie uczą się jeszcze tych przedmiotów. Więc oglądają tam wszystko, co się da, co tylko jest i kiedy tylko można; a więc wagi, tygle, palniki, flaszeczki z kwasami i innymi tego rodzaju specjalami, barometry, suwaki, modele pomp i t. d. i t. d., a to wszystko zdaje się być niesłychanie groźne i tajemnicze. Zdarza się często, że nie można przejść w pobliżu tych wspaniałych przybytków, gdyż w koło unoszą się takie niemożliwe wonie (starych jaj, zgnilizny), że jest się zmuszonym uciekać w najdalszy kąt.

Tak wygląda nasz gmach, nasz kochany gmach, który zna wszystkie nasze tajemnice, myśli, potrafi nas zawsze zrozumieć. Tak. Zawsze wtedy, gdy jest nam źle, on potrafi objąć nas swymi potężnymi ramionami ścian, przytulić, pocieszyć. Przecież w jego to murach spędziliśmy tyle wesołych, szczęśliwych i bez troskich chwil! Chyba nie zapomnimy go nigdy jeszcze dlatego, że widziałyśmy, jak się budował, czekałyśmy z zapartym oddechem na wykończenie, bo wiedziałyśmy, że to będzie nasz, tylko nasz, niczyj inny gmach. Więc jakżeż można go nie kochać?

Basia Skoczówna kl. III.



List z Jerozolimy

Pragnę przede wszystkim podziękować Komitetowi Redakcyjnemu i Opiekunce „Brzasku” za przemiły list, jaki otrzymałem tuż przed wyjazdem do Ziemi św. Następnie chcę zapewnić wszystkie czytelniczki, współpracowniczkę i przyjaciół „Brzasku”, że pamiętam tu o nich w modlitwach.

Zwykle o tej porze Jerozolima roi się od pielgrzymów przyjeżdżających z całego świata, by uczcić w Wielkim Tygodniu pamięć Męki Zbawiciela, podziękować za Odkupienie, zwiedzić miejsca uświęcone życiem, męką i śmiercią Chrystusa Pana.

W tym roku przyjechało tylko kilkanaście osób, gdyż władze angielskie, sprawujące obecnie rządy w Palestynie, nie udzielały pozwolenia na przyjazd ze względu na nową falę krwawych rozruchów w całym kraju.

Ludność Palestyny liczy 1.200.000, w tym 800 tysięcy Arabów i około 400 tys. Żydów.

Arabowie uważają Palestynę za swoją własność. Żydzi zaś swą. Konflikt powstał na tle obietnicy danej przez Anglię i zatwierdzonej przez Ligę Narodów, że w Palestynie powstanie z czasem państwo żydowskie. Gdy Żydzi kierowani przez swoje organizacje zaczęli gromadnie zjeżdżać do Palestyny i wykupywać ziemie od Arabów, budować nowe kolonie i nawet miasta, Arabowie chwycili się siłowni, nie chcąc dostać się pod panowanie żydowskie. Bojówki arabskie dokonują prawie co dzień zamachów. W październiku w zeszłym roku doszło do formalnej bitwy w Jerozolimie z Anglikami, którzy osłaniają Żydów, w lutym straciło życie 110 osób, w marcu 268.

Ponieważ zamachy niszczą często tor kolejowy z Egiptu do Jerozolimy, udałem się do Ziemi Świętej samolotem kursującym między Kairo a Lydda. Z Lyddy do Jerozolimy jedzie się 48 km. samochodem.

W porcie Lydda angielska policja sprawdza paszport, wizy, ogląda na wszystkie strony i bada, do kogo się jedzie, na jak długo. Potem trzeba czekać na przybycie większej ilości pasażerów z Haify, Beirutu w Syrii, bo można jechać tylko grupami i pod osłoną policji lub wojska. Koło portu stoi pogotowie z kilku autami pancernymi.

Są i policjanci żydowscy. Poznać ich po czapkach barankowych. Poznają od razu polskiego księdza, podchodzą i rozmawiają oczywiście po polsku, wpytując się o Polskę.

Po dłuższym czekaniu zrezygnowałem z osłony wojskowej i pojechałem do Jerozolimy samochodem arabskim. Po drodze spotykaliśmy pełno oddziałów zmilitaryzowanych angielskich, samochody z karabinami maszynowymi, gotowymi do strzału — jakoś żadnego napadu na nasz samochód nikt nie urządził i po godzinie jazdy znalazłem się w świętym mieście Jeruzalem.

Co prawda wjazd niezbyt zachęcający.

Tuż przed miastem na drogach zapory betonowe, gęste zasieki z drutu kolczastego, wśród nich wojsko angielskie i policja. Nie sposób się prześlizgnąć. Rewidują, sprawdzają wszystkich.

Ale to wszystko jakoś nie odbiera radości, że się spełnia marzenie tylu lat, by choć raz w życiu być w Ziemi świętej.

Nie miałem pojęcia dotąd, jaki to piękny kraj; naokoło jak nasze

Podhale lub Pieniny, jaka Jerozolima przepiękna, zwłaszcza stare miasto, rozłożone na pagórkach tuż koło bazyliki Grobu św. i Kalwarii, liczne wąziutkie uliczki staroświeckie, biegnące nieraz stopniami w górę, czasem nakryte, pełne wschodniego życia, ruchu i gwaru i najrozmaitszych typów ludności, wszelkich ras i języków. Domy z kamienia z tarasami lub kopulastymi daszkami, wszystko to jak obrazek z średniowiecza.

W środku miasta starego dwie kopuły bazyliki Grobu św., a niedaleko wieża Dawida, górująca nad Syjonem. Stare miasto otoczone wysokim murem, dobrze zachowanym z 1542 roku. Koło starego miasta nowe dzielnice zupełnie nowoczesne, szeroko rozłożone na kilku pagórkach, a właściwie górach, bo Jerozolima jest zbudowana na wzgórzach do 800 m. wysokości ponad powierzchnię morza, czyli na wysokości Zakopanego. Poza miastem leży góra Oliwna, oddzielona od Jerozolimy doliną Józefata.

W Jerozolimie istnieje Dom Polski, prowadzony przez polskie Elżbietanki. Z tarasu tego domu roztacza się wspaniały widok w kierunku wschodnim. Tuż niedaleko fragmenty Drogi Krzyżowej, kościół Ecce Homo i św. Anny, trochę w prawo meczet Omara na placu, na którym wznosiła się niegdyś świątynia Salomona, potem mury miasta, złota brama, a dalej dolina wyschłego potoku Cedronu, zwana też doliną Józefata, w dole nowa bazylika w Getsemani w Ogrójcu, nieco wyżej zbocza góry Oliwnej z miejscem Wniebowstąpienia, a w dali na widnokręgu góry Transjordanii, u ich stóp leży Morze Martwe, widoczne tylko z góry Oliwnej.

Niedaleko Domu Polskiego znajduje się bazylika Grobu św., najcenniejsza relikwia chrześcijaństwa. Bazylika mieści w sobie Golgotę, miejsce ukrzyżowania i grób Chrystusa Pana.

W ciągu wieków przechodziła bazylika najrozmaitsze koleje. Obecnie należy do kilku obrządków: łacińskiego, greckiego, prawosławnego i koptyjskiego. Klucze od bazyliki, od bramy wejściowej są w ręku dwóch rodzin arabskich, mahometańskich jeszcze z czasów tureckich. Za każde otwarcie bazyliki nawet na uroczyste nabożeństwa trzeba płacić. W Wielki Piątek trzeba było od 6 rano czekać pod bramą na Araba, który miał otworzyć bramy na nabożeństwo wielkopiątkowe. Między czekającymi był i biskup. O 6^{1/2} przyszedł Arab, otworzył, wpuścił czekających i zaraz potem zamknął bramę. Otworzył ją dopiero po skończonym nabożeństwie. A drugiego wejścia do bazyliki niema.

Zdawało się, że ten przykry stan rzeczy zostanie uregulowany przez Anglików lub Ligę Narodów, jednak od czasów tureckich nic się dotąd nie zmieniło.

W tym roku wpuszczano do bazyliki w Wielkim Tygodniu tylko księży i zakonników rzekomo ze względu na bezpieczeństwo, gdyż kopuła bazyliki niewłaściwie przez Greków odrestaurowana grozi zawaleniem, wykazuje duże rysy w sklepieniu i trzeba było ją zabezpieczyć przy pomocy rusztowań.

Stworzyło to jednak w tym roku idealne warunki dla zwiedzania miejsc świętych, ciszę i spokój do modlitwy. Wszędzie, gdzie chciałem i kiedy chciałem, mogłem odprawić Mszę św. Np. w niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego odprawiłem Mszę św. wewnątrz Bożego Grobu. W zwykłych warunkach byłoby to zupełnie niemożliwe. Tak samo mogłem wziąć udział we wszystkich nabożeństwach Wielkiego Tygodnia. Jeżeli gdzie, to tu parę kroków od Kalwarii, tu koło Grobu Pańskiego i miejsca Zmartwych-

wstania, tu w mieście, gdzie miała miejsce cała smutna tragedia Syna Bożego, rozumie się lepiej tajemnicę Męki i Miłości Chrystusowej.

I pomimo niekorzystnych zewnętrznych warunków można tu tak się modlić, tak rozmawiać z Bogiem jak rzadko gdzie.

Pamiętałem o Mariówce całej, o Księdzu Kanoniku, o Paniach wszystkich, o gimnazjum, o liceum, a specjalnie o tych, co mają przed sobą maturę. Miałem początkowo zamiar spędzić tu tylko kilka dni. Tymczasem pobyt przedłużył się ponad dwa tygodnie, bo miło jakoś, dziwnie dobrze w tej najbliższej Ojczyźnie Chrystusa Pana. Tu wszystko Nim tchnie, tu się Go czuje, tu każdy kamień o Nim świadczy. Jestem szczęśliwy i dziękuję Bogu za to, że mogę patrzeć na te cudne wzgórza i góry, które kiedyś Syn Boży oglądał, modlić się tam, gdzie On się modlił.

W Poniedziałek Wielkanocny byłem w Emaus, potem w Betleem, następnie w Jerycho, nad Morzem Martwym, na górze Kuszenia, wreszcie w Nazaret, w Kanie, w Tyberiadzie, nad jeziorem Genezaret, w Kafarnaum, gdzie tyle cudów zdziałał, i na górze błogosławieństw.

W tej chwili, kiedy to piszę, stare miasto wygląda jak martwe. Nie wolno nikomu od dwu dni pokazać się na ulicy. Na ulicach i na rogach ulic patrole wojskowe, karabiny maszynowe, wszystkie sklepy pozamykane. To za karę za zastrzelenie w tej dzielnicy wczoraj rano sierżanta angielskiego. Nazywa się to z angielska „kerfin” — curfew. Robi to nadzwyczaj przykre i przygnębiające wrażenie. Jest to masowe więzienie ludzi, niewola. Od przyjazdu do Jerozolimy mam już cztery specjalne przepustki, by móc wogóle chodzić po Jerozolimie i okolicy. Ale stali mieszkańcy cierpią bardzo wskutek tego i tracą materialnie, gdyż nie mogą iść do biur, a towar w sklepach marnuje się i gnije, pomijając to, że wiele ludzi nie ma co jeść.

A końca wciąż nie widać. Obecnie bojówki arabskie już mniej atakują Żydów, raczej walczą z wojskiem angielskim, które w gruncie rzeczy sprzyja Arabom, a musi walczyć i ginąć za Żydów, choć pretensje Żydów do Palestyny są zupełnie nieuzasadnione.

Bóg dał im kiedyś ten kraj ze względu na Mesjasza. Ponieważ jednak Żydzi w swej ślepotcie nie uznali Jezusa za Mesjasza, a nawet skazali Go na śmierć krzyżową, więc za karę stracili swe prawa do Palestyny i poszli na wygnanie.

Palestyna powinna być nadal Ziemią Św. i nie powinna być przedmiotem targów politycznych.

Chrześcijanie nie mogą się zgodzić na to, by Ziemia św. pozostała pod kontrolą państwa żydowskiego. Dążeniem katolików powinno być zneutralizowanie Palestyny i uczynienie z niej ponad-narodowego, prawdziwie świętego kraju dla wszelkich religii monoteistycznych. Zwiędziłem też Tel-Awiw, miasto zbudowane w ostatnich latach przez Żydów, liczba ich dochodzi już w tym mieście do 160 tysięcy. To, co tam zrobili dotychczas, wspierani zresztą przez Żydów całego świata, wzbudza podziw prawdziwy i w interesie Polski byłoby, by jak najwięcej Żydów z Polski mogło się osiedlić w Tel-Awiwie lub na zakupionych od Arabów terenach i podnieść kulturę kraju, ale miejsca święte, mające związek z życiem i z Męką Chrystusa Pana drogie nie tylko dla nas katolików, ale i dla

wszystkich chrześcijan, a nawet dla Arabów powinny być wyjęte spod władzy państwa żydowskiego, a chronione przez prawo międzynarodowe. Chciałem napisać tylko parę słów, a zrobił się długi list. Serdecznie za to przepraszam i wszystkim Czytelniczkom i redaktorkom „Brzasku”, Gronu Nauczycielskiemu, Wychowawczyniom, Księdzu Kanonikowi najserdeczniejsze pozdrowienia z miasta świętego Jeruzalem przesyłam.

Ks. Dominik Ścisła

Jerozolima, 20 kwietnia 1939 r.



SKŁADAJMY OFIARY NA F. O. N.

W ostatnich czasach między wszystkimi państwami Europy toczy się wyścig wyętej pracy uzbrojeniowej. Polska nie mogła patrzeć bezczynnie na rozrastające się w szybkim tempie siły wroga. Kraj nasz musi być zawsze przygotowany na zbrojne odparcie zaczepki sąsiadów, więcej, musi dowieść faktami innym narodom o swej mocarstwowości!

Ze słowem Polski musi się liczyć każde państwo.

O jej wielkość powinien dbać każdy obywatel, bo potęgę Państwa tworzy się wspólnym wysiłkiem Narodu, mocą ducha, wolą ludzi czujących głęboko swą przynależność do kraju.

Ofiary na F. O. N. i Pożyczka Przeciwlotnicza mówią o wielkiej gotowości wszystkich bez wyjątku Polaków. Płyną zewsząd dary na dozbrojenie państwa, dary dawane w granicach możliwości obywateli.

Pewnie, że pomoc materialna z naszej strony, od polskiej młodzieży, nie może być wielka, ale i za te grosze, które składamy, można już coś zrobić.

Polska domaga się także od nas gotowości do czynu, mocy ducha, karność i głębokiej miłości Ojczyzny. Ojcowie nasi wywalczyli Polskę niepodległą, naszym obowiązkiem jest nie tylko utrzymanie wolnego kraju, ale i utworzenie wielkiej potęgi.

Wizję wielkiej Polski musi mieć każda uczennica! Dla Niej niech realizuje wszystkie swe drobne przedsięwzięcia, by w przyszłości umieć tworzyć wielkie rzeczy. Dla Niej, spełniając dobrze swoje obowiązki, niech wyrabia w sobie cechy Polki—patriotki. Karnością, tężyzną ducha, gotowością ofiar niech tworzy wielkość Polski! Gotowość pracy dla Ojczyzny okażemy w przygotowaniu moralnym jednostek, bo w każdej wojnie zwyciężają nie tylko siły zbrojne, ale i cała ludność.

I jeszcze jedno, co możemy zrobić dla naszego kraju, to gorące życzenie pracy wydajnej i pożytecznej dla Narodu, zaufanie, jakie żywić

możemy dla tych, którzy stoją na czele Państwa, bo życzliwe ustosunkowanie się działa cuda, pozwala na lepszą i wydatniejszą pracę.

Nieśmy więc na F. O. N., prócz pomocy materialnej, naszą moc ducha, miłość Polski i życzenie pracy owocnej czynnikom kierującym!

Zosia Zdziarska. kl. II. IIc.

OKOLICE MARIÓWKI

czyli o żabach, śniegu i błocie.

Stawów jest mnóstwo. Wielkością przypominają kałuże po większym deszczu, zapachem — trupiarnię, a florą i fauną — akwarium, w którym wszelkie żyjące istoty wyginęły po wyjedzeniu istniejących tam roślin. I wszędzie równiny. Dostyc dużo wody i mało drzew, płynie też jakaś marna rzeczyna, przez którą nie tylko można przeskoczyć, ale iść środkiem koryta w niskich półbutach od źródeł do ujścia, nie zamoczywszy sobie nóg ani na lekarstwo. W „rzece” tej wody jest mało, ale za to wszędzie poza nią jest jej w bród.

Oprócz stawów istnieje jeszcze sadzawka. Niegdyś można było się tam kąpać, teraz gdyby kto popróbował, obawiam się, czyby z życiem uszedł. Jest tam bowiem tak niezliczona ilość żab, że choć nie wiem, czy żaby są ludzkożerne, ale myślę, że nie darowałyby człowiekowi, który by się wdarł do ich królestwa.

Tak, to jest ich małe państwo i nikt nie ma prawa wdzierać się tam bez ich zaproszenia.

Żaby pozwalają się zresztą obserwować z daleka. Można ukleknąć na brzegu z nosem tuż nad powierzchnią wody i patrzeć na ich dzikie harce. Na kępce trawy mają plażę, gdzie się opalają. Poza tym lubią się kąpać. Bardzo to ładnie o nich świadczy.

Wrzask jest okropny. Kumkają i kumkają aż do znudzenia. Dziwię się czasami, że je gardła nie rozbola. Potrafią w ten sposób krzyczeć przez parę godzin. Czasami głos ich jest ludzako podobny do kukania kukulki.

Nic dziwnego, że nad wieczorem, kiedy się rozpoczyna żabi koncert, „laiki” biorą żaby za kukulki. Przeto jakakolwiek dziewczynka podrywa się na ten głos i pyta:

— Zazulo, — Zazulo, a za ile lat ja wyjdę za mąż?

W ten sposób żaba wykukała Hali trzystu dziewięćdziesięciu potomków; przerażona nie czekała dalej, uciekając, gdzie groch rośnie, a tymczasem żaba dojechała na pewno do kilku tysięcy.

Żaby są jak ludzie: kąpią, opalają się chodzą w zielonych fraczkach z białymi gorsami, pływają „żabką” i kraulem i kochają się.

Ale dosyć o tej pospolitej i wielce dla Mariówki charakterystycznej faunie.

Jeszcze w tamtym roku, gdy nie wycięto drzew, wiele dziewczynek kierowało swe kroki do „Uśmiechu wiosny”. Wtedy kwitły kaczeńce, takie żółte kwiaty i takie polskie. Po wodzie pływały chmury i słońce. Pamiętam... Był zachód, bardzo czerwony. Pachniało ziemią i młodą trawą. To właśnie wiosna!

Obserwowałam zachód z tego miejsca teraz. Nie ma już drzew. Dlaczego je ścięto? Ostatnio patrzyłam na ich suche kikuty jesienią, a teraz? Teraz tak jest pusto, jakby ktoś umarł i dopiero co wyprowadzono jego zwłoki na cmentarz. Aha, właśnie! Cmentarz.

Jest to miejsce najbardziej przytulne i najbardziej swojskie. Nie robi nawet wrażenia cmentarza, ale jakiegoś starego, zapuszczonego parku. Ten, kto sam sobie umie być towarzyszem, lubi takie właśnie miejsca. Brzozy, brzozy, brzozy, w kącie przy płocie pochylona sosna, wydaje się samotna pomiędzy nimi. Trawa zarosła ścieżki, wzdłuż i wpoprzek suną bezustannie bataliony mrówcze.

Tu, na to wzniesione miejsce najchętniej przybiega wiatr. Wy go znacie: taki zbytnik, niecnota wielki, lubi drażnić i na złość robić, choć w gruncie rzeczy serce ma niezłe.

Brrr. Nieznośne to wietrzysko! Gmera chciwymi paluchy we włosach, zgina konary drzew ku ziemi, sypie piaskiem w oczy, owija spódnice w koło nóg. Raptem cichnie, aby znów za chwilę dmuchnąć w ucho, jakby chciał powiedzieć „A ku - ku”, zamknąć usta zimnym oddechem i bić bez litości liściem po gołych nogach, a potem kręcić się w kółko z uciechy, że mu się figiel udał.

Koło drogi rośnie krzak tarniny, dręczony i prześladowany w okresie kwitnienia. Każda z dziewczynek koniecznie musi mieć koło swej głowy przy łóżku ogród kwiatowy. Zniszczenie sięga gorsze od Wandalów czy Hunnów. Biedne tarniny bronią się rękami i nogami, to jest właściwie kolcami. Zjarza się więc, że zniechęcona miłośniczka przyrody porzuca swe barbarzyńskie czyny i wraca bez kwiatów, a za to z masą blizn, jakby co najmniej przyjechała przed chwilą z frontu hiszpańskiego czy chińskiego.

Pisałam o porze, w której jest kolorowo, a istnieje przecież i okres, kiedy jest biało. Wtedy nie ma błota i jest sucho. Czasem nawet zatęskniłam do tej chwili, kiedy można było taplać się w czarnym błotku i robić spacer w obuwiu wypełnionym wodą, gdy but sobie, noga sobie, każdy sobie rzepkę skrobie. Bardzo miłe jest wrażenie, gdy but idzie oddzielnie, a noga też oddzielnie, między nogą zaś i butem przelawa się woda, a naj-

ciekawsze, gdy taki trzewik czy tym podobny pantofel jest dziurawy, wtedy przy każdym stąpieniu woda wytryskuje fontanną na wysokość pierwszego piętra.

Śnieg jest o tyle podobny do błota, że zarówno z jednego jak i z drugiego trudno wyciągnąć nogi i bardzo często się zdarza, że po przejściu kilku kroków odczuwa się przejmującą zimno. I co się okazuje? To pantofel został w błocie, ewentualnie w śniegu.

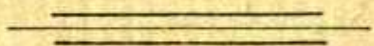
Niby wszystko jest takie samo jak zawsze, tylko jakby przemalowane na inne barwy.

I można się ślizgać: na łyżwach, na nogach i na jeszcze czymś innym, zależnie od rozmachu i od sytuacji

Obserwowałam kiedyś kilku małych chłopców, pewnie z pierwszego czy drugiego oddziału. Bez niczego, bez żadnych łyżew, jak wezmą rozmach w swych długich butach, to pojadą z dobre dziesięć metrów. Robią to z takim talentem i wywijają takie wspaniałe esy—floresy, że nie mogłam wyjść z podziwu.

Właściwie Mariówka nie ma ani gór, ani żadnej wspaniałej wody. Kilka bojerek, białe chaty i równina, gdzie niegdzie drzewko. Ale to wszystko może się podobać, tylko trzeba to zrozumieć i trzeba kochać, wtedy na pewno wszystko wyda się piękne, jeśli nawet takie nie jest.

Irena Zajączkiewiczówna kl. III.



PRENUMERATA ROCZNA 3 zł. z PRZESYŁKĄ 3.50.
OPIEKUNKA PISMA: **HELENA IRENA WITKOWSKA.**

DRUK SZKOŁY RZEM. MARIÓWKA OPOCZ.
